



Dziunia Wasylkowska

## **Kradłam uczciwie**

Urodziłam się w Łachwie, małej miejscowości na Polesiu, w 1926 roku. Mój ojciec pochodzi z Bukowiny. Służył w wojsku austriackim, następnie po klęsce Austrii doszedł do Francji, w szeregi gen. Hellera. Brał udział w obronie Warszawy. Po zakończeniu wojny, gdy zaczęto polonizować wschodnią część kraju, ojciec mój otrzymał działkę na Wołyniu. Ponieważ ziemia go nie interesowała, zrezygnował z niej. Nie wiem, jak mój ojciec znalazł się w Łachwie, prawdopodobnie dlatego, że był tam już jego brat z żoną. Oboje byli nauczycielami. Moja matka przyjechała do Łachwy po ukończeniu seminarium nauczycielskiego w Częstochowie. Tam też 18 stycznia 1926 roku ja się urodziłam. Mieszkaliśmy tam około 5 lat. Matka moja pracowała jako nauczycielka, byłam więc zasadniczo wychowywana przez niańkę. Mój ojciec po zakończeniu WKN czyli Wyższego Kursu Nauczycielskiego, otrzymał pracę kierownika szkoły w Stolinie.

Przyjechaliśmy do Stolina gdy miałam cztery lata, a moja siostra kilka tygodni. Zamieszkaliśmy w budynku szkolnym. Matka moja przestała wówczas pracować. Tam też rozpoczęłam naukę, choć chodziłam do kilku szkół, w zależności od klasy, do której musiałam uczęszczać.

Gdy wybuchła wojna, w dniu 25 września 1939 roku mój ojciec został zmobilizowany do wojska. W Stolinie przez jakiś czas było spokojnie. Jednak już w roku 1939 NKVD rozpoczęło na naszych terenach aresztowania.

W końcu grudnia 1939 roku przyszedł także po mojego ojca. Mama dała mu tylko stare futro. Później starała mu się pomagać, ale była to oczywiście bardzo ograniczona pomoc.

Do naszego mieszkania przy szkole sprowadzono jakąś żydowską rodzinę, a my po kilku dniach dostaliśmy nakaz opuszczenia domu. Przeprowadziliśmy się do państwa Kulińskich, naszych sąsiadów.

Ten względny spokój trwał jednak niedługo, bo już 10 lutego 1940 roku nad ranem przyszli i po nas. Sąsiedzi powiedzieli, że wiozą nas do jakiegoś obozu niedaleko Pińska. Doradzali nam, abyśmy nic ze sobą nie zabierali, bo nam to po drodze zginie, ale mama włożyła na nas całe ciepłe ubranie i to nas uratowało. W kapę zdjętą z łóżka mama zawinęła trochę poduszek, kołdrę i trochę jedzenia. Pamiętam, że były tam też konfitury. Więcej nie pozwolili nam zabrać.

NKVD przyjechało po nas eleganckimi sankami księcia Radziwiłła. Zawieziono nas do stacji Horyń, około 6 kilometrów od Stolina. Na stacji był już podstawiony pociąg złożony z bydłowych wagonów. Pamiętam, że nie było w nich ubikacji i ta sprawa była dla nas wszystkich tam stłoczonych bardzo dużym problemem. Pamiętam rodzinę Mikulskich, którzy byli wtedy w tym samym pociągu co my. Był to transport osadników, ale głównie leśników i gajowych. Zamknięto nas w wagonach, gdzie nie było wody i tylko z niewielkich ilości śniegu zdobywaliśmy odrobinę płynu. Pamiętam, jak jednego dnia ktoś przyniósł nam wiadro zupy z jakiegoś samochodu sanitarnego.

Czekaliśmy kilka dni, aby wyruszyć dalej, w niewiadomym kierunku. Pewnego dnia na tym postoju zobaczyłam przez szpary w naszym bydłowym wagonie, że prowadzą kolumnę więźniów. Między innymi szedł mój ojciec. Prowadzono ich ze Stolina. Widziałam, jak w pewnym momencie pani Kułakowska, nasza znajoma, która mieszkała w Horyniu, podała mojemu ojcu jakiś worek z jedzeniem.

Pociąg nasz ruszył w kierunku Łunińca. Gdy otworzono drzwi od naszego wagonu, spotkałam moją koleżankę z gimnazjum Wisię Dobrowolską, która pochodziła z rodziny

szlachty polskiej. Po zamknięciu wagonu, pociąg ruszył w dalszą drogę.

Pamiętam jak dojechaliśmy do granicy rosyjskiej, gdzie przeniesiono pociągi na inne, szersze tory. Tam sytuacja nieco się poprawiła, bo mieliśmy już w pociągu miejsce na ubikację. Nie pamiętam żeby nam dawano cokolwiek do jedzenia, pamiętam tylko tamto wiadro zupy. Ktoś wyjął karty, zaczęliśmy stawiać pasjansa, bo chcieliśmy zgadnąć czy jedziemy na północ czy na południe.

Pewnego dnia, gdy pociąg się zatrzymał usłyszałam dziwne dźwięki. Okazało się, że jesteśmy koło Plesiecka. Był tam jeden z największych łagrów, gdzie zgromadzeni więźniowie już od świtu pracowali na mrozie.

Po wysadzeniu z pociągu załadowano nas na ciężarówki. Ponieważ był to luty, więc oczywiście w tamtych stronach było bardzo zimno. Obie z siostrą chorowałyśmy. Dojechaliśmy do Kościna. Była to taka większa wieś, gdzie czekały już sanki, na które nas wsadzono, aby wieźć znów wiele, wiele kilometrów.

Był luty 1940 rok. Gdy dojechaliśmy do Karm Oziera zakwaterowano nas w kilkuosobowych izbach na nocleg. Następnego dnia dojechaliśmy do Założeria. Tam były już postawione dla nas baraki. Zamieszkaliśmy w maleńkim pokoju w jednym z tych baraków, gdzie również mieszkała nasza znajoma, pani Podubiakowa ze swoją pięcioosobową rodziną. Nie pamiętam ile tam było baraków, ale wiem, że niedaleko nas znajdowała się stołówka, była też świetlica, gdzie zbierano nas, gdy chciano przekazać jakieś informacje. Był też mały sklepik, gdzie po pewnym czasie naszego pobytu można było kupić chleb. Na początku obozu znajdowała się komenda NKVD, szkoła, a tuż nad rzeką szpital. Kilku mężczyzn wraz z moim ojcem przeniesiono do pracy w pobliskich lasach. Ostrzyli piły do cięcia drzewa.

Po pewnym czasie pobytu dano nam po kawałeczku działki, gdzie mogliśmy sobie zasiać ziemniaki lub cokolwiek do jedzenia. Oczywiście nie było żadnej straży, bo nikt nie miał dokąd uciekać. Ja byłam już „za stara”, aby iść do szkoły, gdyż były tam tylko 4 klasy, w których uczyły dwie nauczycielki, natomiast do szkoły poszła moja siostra.

Dzień wybuchu wojny między Rosją a Niemcami był jednym z najlepszych naszych dni w obozie. Podjęłam pracę, z której wraz z grupą młodych ludzi wysłano mnie do Szepiecznej. Najpierw płynęliśmy łodzią a później, po kilku godzinach marszu dotarliśmy do wioski. Przez cały miesiąc pracowaliśmy za darmo aby, jak nam powiedziano, zbierać fundusze na Armię Czerwoną.

Pamiętam, że w lipcu, w dniu imienin mojej mamy kupiłam w sklepiku kawałek mydła. Był to prawdziwy luksus, bo my wszyscy myliśmy ręce wyłącznie popiołem. Szłam pieszo całą noc do mamy na te jej imieniny.

Jednak jednym z najbardziej drastycznych przeżyć z okresu mojej wczesnej młodości, do których chcę powrócić, było aresztowanie mojego ojca. Było to jeszcze 1940 roku. NKVD zabrało wówczas mojego ojca z robót leśnych, wraz z kilkoma innymi mężczyznami. Nie wiem jaki był tego powód. Zamknęli go w szopie, do której nie wolno nam było podejść. Następnie zaprowadzili ich do stacji kolejowej. Pamiętam, że biegłam za nim jakiś czas krzycząc, ale mój ojciec nawet się nie odwrócił. To było wszystko. Kiedy był już w łągrach w Plesiecku, dostaliśmy przemycony przez znajomych list, z którego dowiedzieliśmy się, że przedtem w Archangielsku ojciec mój był przesłuchiwany. W liście tym pisał, że ktoś na niego składał zeznania na NKVD. Między innymi, niestety, był to ojciec jednej z moich przyjaciółek. Drugi list, który dzięki sprzedaniu swoich osobistych rzeczy i przepłaceniu dostarczyciela dotarł do nas od mojego ojca, mam nawet tutaj ze sobą.

W końcu sierpnia 1941 roku zebrano nas wszystkich w obozie i zawiadomiono, że został zawarty układ Sikorski-Majski, na mocy którego uznano, że jesteśmy wolni. Początkowo wydawało nam się to zupełnie nierealne. Ale dość szybko zdecydowaliśmy, aby zabierać z baraków co jeszcze kto miał i oddalić się, uciec, wszystko jedno w jakim kierunku. Wiedzieliśmy jednak, od komendantury obozu, że musimy otrzymać "udostawienie", czyli dokument wystawiony przez NKVD o zwolnieniu z obozu. Ludzie stali po 24 godziny przed budynkiem urzędu, gdyż komendant nie chciał wydać odpowiednich papierów.

Pamiętam jak chcieliśmy zaopatrzyć się w jakieś jedzenie na dalszą drogę. Poszliśmy więc na pole wykopywać kartofle. Szliśmy rzędami i każdy wyrzucał je do tyłu, podczas gdy inni, idący za nim, zbierali. Byłam wtedy w spodniach ojca, zawiązanych na dole, więc upychałam ziemniaki w nogawki tych spodni, gdzie się tylko dało. Trzeba tu powiedzieć, że bardzo trudno było zgromadzić jakieś zapasy. Wszystkie koty i psy były już w Zaozieriu zjedzone. Kto mógł uciekał, choć niektórzy nie wytrzymywali tej sytuacji. Wiem, że jedna cała rodzina popełniła samobójstwo poprzez samozaczadzenie.

W jakiś sposób zdobyliśmy łódkę, bo była to jedyna metoda, aby wydostać się z tamtych okolic. Razem z jedną rodziną dopłynęliśmy do Karm Oзеро. Jak dotarliśmy na jakąś wieś, z której do Kościna było jeszcze bardzo daleko powiedziano nam, że jest tam wolny jeden dom, gdzie kiedyś zatrzymywał się przewoźnik. Oczywiście poszliśmy tam i po wyczyszczeniu straszego brudu, jaki tam panował, postanowiliśmy się tam zatrzymać. Ja oczywiście wynajęłam się do kopania ziemniaków, które mama tarła, aby robić dla nas wszystkich placki. Te kartofle wspominam jako najlepsze w życiu.

Pewnego dnia spotkaliśmy jednego z woźniców, który zgodził się przewieźć nas do Kościna. Mama nagotowała wtedy sagan kartofli, posypała je mąką, co było naszym jedynym posiłkiem. To trzymało nas przez kilka dni przy życiu.

Po przyjeździe do Kościna znów nie wiadomo było co robić. Ja wraz z koleżanką poszłam do pracy oddalonej 10 kilometrów w głąb tajgi. Pamiętam, że ta moja dobra koleżanka z bratem okradli mnie kiedyś w nocy z mojego chleba. Takie to bywają “przyjaźnie” jak się jest głodnym. Zajmowałam się też malowaniem wapnem baraków. Po jakimś czasie doszła do nas także moja mama.

Właściwie przez przypadek otrzymaliśmy nagle wiadomość o moim ojcu. Pojawił się u nas całkowicie zmieniony. Nogi otulone miał łachmanami, nie miał już swojego ubrania. Wydostaliśmy się stamtąd z powrotem do Kościna, a następnie wzdłuż szosy poszliśmy do Plesiecka, gdzie znajdowały się wsie. Tak doszliśmy do wsi Babkina.

Ponieważ było tam dość dużo opuszczonych domów, objęliśmy ze znajomymi jeden z nich. Zamieszkali z nami państwo Rzewuscy. Udało nam się też dostać pracę w kołchozie. Wciąż jednak największym problemem był brak żywności.

Pamiętam jak w Boże Narodzenie poszłam do jednego z ogrodów, gdzie spod śniegu wybierałam zmarzniętą kapustę, żeby można było coś zjeść. Było głodno, bardzo głodno.

Zapamiętałam sobie, że gdy pewnego razu przyszedł w nasze strony transport z więźniami, wówczas jeden z nich przyszedł do nas z kawałkiem mięsa, prosząc moją mamę, aby mu to mięso ugotowała. Mieliśmy wtedy bardzo dobrą zupę, choć oczywiście całe mięso mama oddała właścicielowi.

Po pewnym czasie zdecydowaliśmy się jechać dalej, do Plesiecka. Trochę wozami, trochę pieszo dotarliśmy wreszcie do Prysiecka na stację kolejową. Było tam trochę rosyjskiego

wojska, wielu inwalidów. Wsiedliśmy znów do bydlęcego wagonu, z pryczami, gdyż chcieliśmy jechać jak najdalej na południe, tam gdzie było polskie wojsko.

Dojechaliśmy do Wołogdy, dużej stacji. Było tam masę ludzi zwanych “bieżeńcami”. Rosjanie mieli tam punkty żywnościowe dla tych, którzy mieli “udostawienie”. Okazując to zaświadczenie władz rosyjskich dostaliśmy po trochu zupy z pomidorami. Pamiętam starszą kobietę, która siedziała na stacji, a wokół niej chodziły wszy w takiej ilości jak mrówki. Stacja była tak przepełniona, że na noc zostawały na niej tylko kobiety i starsze wiekiem osoby, natomiast mężczyźni musieli wychodzić na zewnątrz i nocować pod gołym niebem.

Spotkałam tam moją znajomą, której ojciec zeznawał na NKVD przeciwko mojemu ojcu, ale także moją prawdziwą przyjaciółkę Halinę. Noc przespałam w pozycji siedzącej, oparta o jakiś słup. Następnego dnia moja mama jakimś cudem znalazła w mieście pokój dla nas, gdzie znów było tak ciasno, że mogliśmy tylko spać na podłodze siedząc jedno przy drugim. Obok nas siedziała Rosjanka, która całymi godzinami śpiewała. Rano przenieśliśmy się do wagonu. Razem z nami byli wtedy państwo Rzewuscy i jeden z tych panów, który składał zeznania na mojego ojca. On to właśnie powiedział, że weźmie nasze dokumenty i pójdzie po jedzenie. Gdy on zniknął nasz pociąg ruszył. Ponieważ zostaliśmy bez dokumentów, od tej pory nigdzie już nie mogliśmy dostać nic do zjedzenia. Wtedy naprawdę czułam co oznacza głód.

Jechaliśmy na południe prawie przez miesiąc, stojąc często w wysokich śnieżnych zaspach, czasami też na małych stacyjkach, gdzie sprzedawaliśmy resztki naszych rzeczy. Kradło się wówczas wszystko, między innymi węgiel. Mogę powiedzieć, że kradłam wówczas, kradłam, ale uczciwie.

Gdy dojechaliśmy wreszcie do Kazania moja mama już chorowała na tyfus. Tam zobaczyliśmy w pociągu wojsko

polskie. Do naszego wagonu przyszedł ksiądz, który dał mamie ostatnie namaszczenie. Dał nam też trochę pieniędzy i powiedział, że zebrali je żołnierze, aby nam podał.

Pamiętam, jak po drodze wyrzucano z naszego pociągu szalony wiele ludzkich zwłok. Wcześniej układano je między wagonami, bo ludzie umierali w podróży bardzo często. Najczęściej z głodu, z powodu rozmaitych chorób, bez względu na wiek. Pamiętam, że trupy leżały przy drodze. Zabierano je potem na wózki ciągnięte przez konie i niczym nie przykryte gdzieś odwożono.

Gdy dojechaliśmy wreszcie do Guzaru w Uzbekistanie, moja rodzina również chorowała. Mama z moją siostrą została zabrana do rosyjskiego szpitala, a nas zawieziono do takiego dużego holu, gdzie ułożono nas jedno przy drugim. Wszędzie było bardzo ciasno. Po jakimś czasie ludzi zaczęto umieszczać w kołchozach, aby rozładować miasto. Moja mama również została zapisana na listę do pracy. Przypadkowo spotkała znajomego naszego ojca, który obiecał, że jeśli będzie transport za granicę, to my pojedziemy jako jedni z pierwszych.

W marcu 1942 roku moja mama z siostrą odjechała do Persji, natomiast ja z ojcem zostałam, gdyż oboje nadal chorowaliśmy. Ojciec mój nie odzyskał już zdrowia i w kwietniu, w wieku 44 lat zmarł.

Dowiedziałam się, że w jednym z biur zapisują do junaczek, która to grupa rezyduje kilkanaście kilometrów dalej. Oczywiście zgłosiłam się tam. Przynajmniej miałam jedzenie, chociaż był to najczęściej tylko ryż. Po jakimś czasie zawieźli nas do Guzaru, a następnie do Mołotowa, przy VI-tej dywizji, której dowódcą był generał Karaś-Tokarzewski. Zakwaterowano nas w namiotach, dano ubranie, uczono jak maszerować, podjęliśmy naukę. Latem przyjechał do nas z wizytą sam generał Anders. Dokładnie pamiętam tę wizytę, bo była dla nas bardzo ważna, bardzo wzruszająca. Potem dowiedzieliśmy się, że mamy jechać do Persji.



W sierpniu 1942 roku piechotą wyruszyliśmy do stacji kolejowej Kitalo. Stamtąd pojechaliśmy pociągiem przez Samarkandę do Krasnowocka, gdzie zakwaterowano nas nad brzegiem morza. Czekaliśmy na statek “Żdamow”. Pamiętam, że był bardzo przepełniony tak, że w nocy nie można było się ruszyć ze swojego, zajętego wcześniej miejsca.

Gdy po dwóch dniach dopłynęliśmy do Pahlevi w Persji, gdzie zobaczyłam stragany z jedzeniem. Po dwóch latach głodu było to dla mnie nie do uwierzenia. Przewieziono nas do obozów nad brzegiem morza, dano szorty mundurowe męskie, bo żeńskich nie było. Maszerowaliśmy wzdłuż brzegu morza śpiewając: “Zaszumił huragan na morzu” albo “Rano, rano, ranusieńko”. Gdy wojsko wyjechało, nas zawieziono przez góry do Teheranu. Kierowcami byli Persowie.

Tam spotkałam się z moją mamą, która pracowała w Teheranie w szwalni. Wtedy opuściłam junaczki, gdyż chciałam być razem z mamą i siostrą. Mieszkałyśmy w obozie, w dawnych budynkach lotnictwa perskiego. Teheran wydawał nam się bardzo bogatym miastem. Ponieważ mama zarabiała, byłam już lepiej ubrana, zaczęłam wychodzić do miasta. Życie zaczęło wyglądać zupełnie inaczej, zaczęłam chodzić do gimnazjum. Po przeniesieniu się do drugiego obozu poprawiły nam się też warunki mieszkaniowe, bo w baraku można było nawet mieć swój pokój.

Zdecydowaliśmy się jednak jechać dalej do Afryki. W Zatoce Perskiej załadowano nas wreszcie na mały statek “City of London”. W Bombaju przeniesiono nas na duży statek holenderski. W Mombasie skierowano nasz statek do Dar-es-Sallam. Wiedzieliśmy, że w tym samym czasie odbywają się walki o Monte Cassino. Wszyscy bardzo to przeżywaliśmy.

Był koniec maja 1944 rok, kiedy znaleźliśmy się na afrykańskim ładzie. Pamiętam pierwszą noc, bo przez cały czas Murzyni z powodu pełni księżyca, swoim zwyczajem grali na instrumentach, tańczyli. Przez dwa tygodnie czekaliśmy na

transport, ale okres ten pamiętam jako bardzo przyjemny. Dar-es-Sallam, po wszystkich wcześniejszych przeżyciach, było dla mnie miastem z bajki.

Po dwóch tygodniach zawieziono nas pociągiem do Dodomu, a stamtąd lorami do Tengeru. Po przywiezieniu nas do Tengeru, który mieści się już prawie przy równiku, dano nam chatkę i rozpoczęłam naukę w gimnazjum. W grudniu 1946 roku uzyskałam świadectwo maturalne.

Pamiętam dzień, w którym ogłoszono zakończenie wojny. Czuliśmy się bardzo przygnębieni, bo nie wiedzieliśmy co dalej mamy ze sobą robić, jaka będzie nasza przyszłość, nie mieliśmy dokąd wracać.

Bardzo chciano nas wysłać do Europy. Po kilku miesiącach, jeszcze w 1947 roku, najpierw przyjechała komisja angielska zapisująca do pracy w fabrykach włókienniczych w Anglii, potem komisja kanadyjska i australijska. Wraz z 1118 osobami z Tengeru i Ugandy zapisaliśmy na wyjazd do Australii, gdzie jednak znów zakwaterowano nas w obozach. Jak teraz o tym myślę to widzę, że całą moją młodość właściwie przebywałam w obozach.

W Australii wylądowaliśmy w 1950 roku.